№ 19. R[illegible]III.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie. . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna Nr 26.
Warszawa, dnia 27 Kwietnia (9 Maja) 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

Z TYGODNIA.

Czy istota, zwana *teściową*, należy do gatunku skazanego na zagładę, czy też można jej darować życie, pod warunkiem, że się zmieni i poprawi?

Czy teściowa, jako gatunek, zmienić i poprawić się może?

Czy nakoniec prawdą jest niezaprzeczalną, że istoty tak nazwane są niegodziwe, szkodliwe, godne potępienia i zagłady?

Pytaniom takim w tej chwili dało znaczenie i siłę wystawienie krotochwili jednoaktowej Abrahamowicza, w której cała sprawa toczy się około pierw...ędnego problematu, jak się pozbyć z domu złe...cha, który w mowie potocznej nazywa się ...rą. Zły ten duch utrzymuje i podsyca w kół...odzinnem ciągłą rozterkę, buntuje żonę prze...mężowi, zagradza drogę do szczęścia własnej ...ce, narzucając jej tęgo zestarzałego konkuren...rzytem rządzi w miasteczku absolutnie jako ...ziwy burmistrz, w zastępstwie zięcia Bibuły, ...trza nominalnego, który przed teściową drży ...la ze strachu i radby się jej pozbyć... gdyby ...na sama zgodziła się na to.

...ona zgodzić się nie myśli i gdyby nie intry...ana regenta, jejmość burmistrzowałaby do ...niego tchnienia w domu zięcia i w mieście. Pan regent jednak, psycholog dzielny, postanowił swarną kobietę pobić jej własną bronią. Urządza tedy Bibule jubileusz, wyprawia do niego delegacyą z zaproszeniem, a pani teściowej naznacza w uroczystości tej rolę, której ona bez oburzenia, gniewu i wściekłości przyjąć nie może. Idzie mianowicie o to, aby jejmość pani świekra własną ręką włożyła Bibule na skronie wieniec, jako nagrodę za dwudziestoletnie a cierpliwe jego znoszenie wszystkich jej dokuczliwych zalet i pomysłów.

Tego było dosyć, aby pani teściowa porzuciła dom zięcia, rodziny i miasto. Odchodzi... nieżałowana i niezatrzymywana. Czy odchodzi, aby nie wrócić już nigdy, to kwestya, której autor nie rozstrzyga. Ale o to mniejsza; jest teściowa, zła i kłótliwa, jest zięć, najprawdziwszy Bibuła, jest jego żona, szczera gąska, tyle właśnie dobra, ile niedołężna... a to wystarczy, aby kółko rodzinne było siedliskiem ciągłej niezgody, udręczeń i ekstrawagancyj, nadających się wybornie do wesołej farsy. Śmiać się z tego można do upadłego, zapominając najzupełniej, że ciągły niepokój domowy, jaki jedna złośliwa osobistość pod dachem utrzymywać może, bywa bardzo często źródłem tylu cierpień i udręczeń, iż tym, co są ich ofiarami, politowanie się należy.

Na szczęście kwestyą przesadzono... gwoli śmiechowi ludzkiemu, który bywa bezmyślnym. Można to twierdzić z pewnością zupełną, że tyle właśnie jest złych teściowych, ile złych mężów i żon i że świekra może być tak samo dobrym duchem rodziny, jak jej dręczycielką... trzeba tylko żeby pan zięć był czemś więcej, jak Bibułą. Bo jeżeli nim jest, jeżeli berła panowania w domu i rodzinie utrzymać nie umie, jeżeli wola jego łamie się i gnie pod lada podmuchem, nic dziwnego że świekra obejmuje władztwo dla dobra córki. A pełni je, jak rozumie.

Teściowa i stara panna, oto dwie istoty, skazane od wieków na tułaczkę po humorystyce scenicznej i literackiej, skazane zaś bez żadnej apelacyi. Często dzieje się to wedle zasługi, ale nierównie częściej wbrew wszelkiej sprawiedliwości.

Niema podobno śród nas nikogo, coby nie spotkał świekry anioła opiekuńczego rodziny, teściowej poświęcającej się do zupełnego zaparcia się siebie; niema też nikogo, coby nie był zmuszony pochylić czoła przed tak zwaną starą panną, która w opuszczeniu swem beznadziejnem znajdowała dosyć sił, aby opuszczonych krzepić i nadzieję w sercach ich budzić. A jeżeli jeszcze istoty te, tak hurtownie ośmieszane, długo mają cierpieć prześladowanie humoru i śmiechu, to możemy zaręczyć, iż się ono skończy z chwilą, w której dowcip ludzki zwróci się z szyderstwem i chłostą w kierunku właściwym—ku... starym kawalerom.

Tym dopiero należą się zasłużenie cięgi bezlitosnego śmiechu — samolubom, tchórzom, co uciekli przed ciężarami życia rodzinnego do ciasnej, stęchłej nory celibatu!

Zanim to jednak nastąpi, dużo wody upłynie, dużo dziesiątków a może i setek lat przeminie, dużo się zmieni w głowach i sercach ludzkich. Tymczasem cieszmy się wiosną, która nareszcie przyszła, zielenią, co się młodzieńczo na wsze strony rozwija, i tem ciepłem, które nowem życiem zdrzemaną wstrząsa naturę.

Wiosna przyniosła literaturze naszej muzycznej bardzo piękny upominek w postaci „*Psalmu 91*,"

który napisał Z. Noskowski. Ten psalm, to właściwie kantata z orkiestrą, pieśń w pięciu częściach, osnuta na temacie znanego hymnu religijnego „Kto się w opiekę.” Jest on parafrazą psalmu Dawidowego, dokonaną przez Jana z Czarnolesia, ojca a właściwie książęcia poetów. Autor kantaty poszczególnie wersety tej pieśni bierze za tekst oddzielnych jej części, zkąd wedle myśli zawartej w słowach wypływa i odrębny charakter muzyki. Sola, niby głosy kapłańskie, przeplatają się z potężnem wołaniem chóru, któremu koloryt daje orkiestracya. Przepięknie wiąże się to w imponującą całość, zakończoną finałem, któregoby niejeden mistrz sławy wszechświatowej kompozytorowi naszemu mógł pozazdrościć.

W finale tym, stanowiącym fugę pięciogłosową, z którą brzmi w jedności zasadniczy motyw hymnu, harmonijnie splatają się wszystkie czynniki kantaty. Brzmi to potężnie, przejmująco. Rzecz wielkiej piękności — wszędzie powitanąby była niezawodnie radośnie a uroczyście; u nas, wykonana na koncercie kompozytorskim, przyniosła twórcy swemu... zadowolenie moralne bezinteresowności.

Na tym koncercie zauważyliśmy bardzo ciekawy objaw... oszczędnościowy. Towarzystwo muzyczne ma obowiązek do sal swoich wpuszczać członków bezpłatnie, ale nie ma wcale powinności starać się o wygodę tych lub owych, z pominięciem innych. Niechaj się sami o to starają. Pewna ilość miejsc w sali, mianowicie w rzędach początkowych, przeznaczona jest dla wygodnisiów, którzyby za małą opłatą zapragnęli siedzieć blizko estrady, słyszeć lepiej i nadewszystko widzieć. Kto chce korzystać z tego, niech płaci. Aliści dzieje się często tak, że nikt korzystać nie chce i płacić nie potrzebuje. Na koncercie kompozytorskim Noskowskiego stało się inaczej — nikt, lub prawie nikt marek na siedzące miejsca nie kupił, a mimo to wszystkie te miejsca były zajęte. Jakim się to stało sposobem?... Poprostu prawem kaduka!

Ponieważ wszelkie prawo kaduka wyrasta z gruntu niesprawiedliwości, przeto w opinii co do takiego nadużycia mylić się nie można, ale zato można się dziwić, iż znajdują się ludzie przyzwoicie... ubrani, amatorowie sztuki, przeto obdarzeni pewnemi szlachetniejszemi instynktami, którym tak łatwo przychodzi zabierać, czego nie kupili. Coby to dopiero było, gdyby się ci ichmościowie (i te ichmościnie!) znaleźli w cudzym ogrodzie, niestrzeżonym przez stróżów i kundle!

Àpropos ogrodu, znaleźliśmy niedawno w pewnej statystyce wiadomość, głoszącą iż w Warszawie zmniejsza się z każdym rokiem liczba sadów i ogrodów, uszczupla się ilość drzew... Łatwo się o tem przekonać, przejrzawszy nową dzielnicę miasta, położoną pomiędzy rogatkami mokotowskiemi, placem Św. Aleksandra i koleją Wiedeńską. Przed dwudziestu laty był to prawie jeden ogród, poprzerywany gdzieniegdzie posesyami zabudowanemi. Dzisiaj piętrzą się tam rzędy kamienic, kilkopiętrowych domów biegnących zwartemi szeregami, wśród których niema ani śladu zieleni i roślinności. A wmiarę, jak się tam coraz szerzej rozsiada szara barwa murów, piękna ta dzielnica, niedawno pełna świeżego powietrza i ogrodowych woni — staje się ponurą, spieczoną od słońca, popielatą od kurzów ulicznych. Wyrastają tam domy jak grzyby po deszczu w miejsce wytrzebionych ogrodów, stają w rzędy szerokie pod sznur, a proste jak strzelił, ale na miejscu powalonych sadów niczyja ręka nie sadzi choćby takich suchotniczych płonek, jak te, co cherlają w kurzu i w niedbalstwie przy kilku ulicach dawniejszych.

Kiedyś może to się da miastu we znaki, jeżeli się już nie daje dzisiaj. Człowiekowi, zamkniętemu w klatce z kamieni i cegieł, roślinność i zieloność tak są potrzebne do zdrowia, jak uwięzionemu kanarkowi garstka muchotrzepu, lub wiązka sałaty.

Maryusz.

ROGATA DUSZA.

POWIEŚĆ

Juliana Łętowskiego.

(Dalszy ciąg.)

IV.

Obiad, który trójka młodych przyjaciół kazała podać w oddzielnym gabinecie, przeciągnął się poza północ. Nie pito zbyt wiele i nie wyrabiano zbytków, ale też i nie żałowano sobie niczego. Marczewski przytem uparł się, że musi postawić „trochę” szampańskiego i wypić niem zdrowie obu przyjaciół, Schwartz zaś pod koniec zażądał likieru, mówiąc, że jeśli ma być „uczta,” to bez likieru obejść się nie może.

Daremnie pan Konrad sprzeciwiał się i wystąpił nawet z małem kazaniem o oszczędności; próżno też powoływał się na swe starszeństwo i rolę mentora, jaką wobec obu młodych przyjaciół istotnie przez lato odgrywał. Nic nie pomogło. Uściskali go obaj i ucałowali, ale żaden nie posłuchał.

Młodym żołądkom nie brakowało istotnie apetytu, który zresztą wzmogła niespodziana, a męcząca podróż, oraz przebyte wrażenia. Rozmowa, a właściwie owa szczera, młoda gadanina, tętniąca życiem, pełna wspomnień, zamysłów i zwierzeń poufnych, podsycała ten wieczór, nie dając im się opamiętać i nie przypominając wcale o biegnącym czasie.

Rozmawiano o wszystkiem, wracając jednak jak najmniej do wydarzeń dnia i do tego, co ich do Warszawy sprowadziło. Była nawet chwila, iż Schwartz, który grał wybornie, odziedziczywszy snać dar ten po zmarłej młodo matce, kobiecie bardzo muzykalnej, siadł do stojącego pod ścianą pianina i uderzył w klawisze.

— Antoś! — zawołał na to Marczewski.

Ale i bez tego upomnienia akord ścichł nagle pod palcami młodego chłopca.

— A! — wrzasnął winowajca, zasłaniając oczy dłońmi.

Poczem zerwał się z krzesła i podbiegając do pana Konrada, począł go znów ściskać i całować.

— Daruj! — wołał. — Waryat ze mnie! Zapomniałem! Bij, zabij, ale przebacz!

Naprożno pan Konrad tłómaczył, iż nie może mieć do niego urazy, iż sam drwił z form zawsze, a żałobę pojmuje o tyle, ile ona tkwi w sercu, nie zaś objawia się nazewnątrz, dla oka ludzkiego. On ją w sercu ma i czuje ją głęboko, głębiej niż mógł nawet przypuszczać, a o resztę nie dba zgoła.

Ale młody entuzyasta tak odczuł swoje przeocze- nie, iż nie mógł się uspokoić.

— Przebacz, przebacz! — prosił ciągle.

Na szczęście zagadał to jakoś Marczewski, wyciągając obu kolegów na wspomnienia minionego lata.

— Nie żałujecie chyba, żem was więził przez lato w naszej Teterówce? — mówił. — Zresztą — dodał zaraz, zwracając się do Schwartza, — ojciec twój przyznał sam, że ci to posłużyło. Poczciwy nie wiedział nawet jak mi dziękować. Mówił, że nigdybyś w swoich Mańkocicach tak nie był się odrestaurował.

— Prawda, szczera prawda!—zawołał Schwartz z entuzyazmem.

— Istotnie, mój Kaźku — przyznał pan Konrad, — w tej twojej Teterówce było nam, jak w raju.

Równocześnie jednak zauważył, że ze względu na Antka, to prawdziwie szczęśliwym był dopiero pomysł owej przejażdżki po morzu z Odessy i tego drapania się po skałach w Krymie.

Ale z zapalnym Antkiem nie było dziś rady. Żachnął się i zaperzył odrazu.

— Krym?... Głupstwo!.. Wyście mnie uzdrowili wy, obaj! — zawołał. — Kaźka bo lubiłem oddawna, choć byliśmy jeszcze do Czerwca zdaleka. Ale ciebie, Konradzie, tom przecie prawie nie znał i nie domyślałem się nawet w tobie takiej duszy! Znali cię inni i mówili wiele o tobie, alem ja myślał: ot przesada! widzą więcej, niż jest! blagują!

— No, no! — upomniał Marczewski, nalewając nanowo kieliszki. —Obawiam się, że w zapale wpadniesz w drugą ostateczność i poczniesz teraz gadać Konradowi impertynencye...

— Ach, mówcie co chcecie — przerwał Antoś— a ja was obu kocham! Czybym pomyślał był przed miesiącem — dodał, przymilając się Konradowi, z właściwą chorym lub kobietom tkliwością, — czybym pomyślał być z tobą na *ty!*... I... módz cię kochać... i być przez ciebie kochanym?... Bo przecie ty mnie choć trochę kochasz?

Pan Konrad uśmiechnął się mimowoli.

— Waryacie! — rzekł, przygarniając ku sobie rozpaloną głowę przyjaciela. — Przecież ci to już powiedziałem tyle razy, a pierwszy raz tam, na widok Czatyrdahu!

Wspomnienia pobiegły znów wytkniętym torem. Wyrywano sobie z ust wzajemnie różne szczegóły, a słowo: „pamiętacie?” powtarzało się tu ustawicznie.

Rozochoconym Marczewski nalał jeszcze po kieliszku likieru, który wypito już tym razem dusz- kiem.

Pan Konrad opamiętał się pierwszy.

— No, wiecie co? Dość tego!—rzekł, wstając.— Pójdźmy! Ja jutro będę musiał wstać rano. Czeka mnie mnóstwo interesów... A i wam trzeba się wyspać.

Ruszono więc niebawem, ale w przejściu przez jednę z sal, zaczepił pana Konrada jakiś jegomość, siedzący w gronie dwóch innych, przy kolacyi.

— Panie kochany!—zawołał, podbiegając żywo. Co się z panem dzieje?

Zamieniono zcicha parę wyrazów, w których Konrad wspomniał o swym wyjeździe, oraz o Krymie i Odessie.

— Aj! — zawołał na to ów jegomość, — muż to nie było dla nas czegoś o tem napisać... pomniał pan o mnie! To źle!

Na dalszą rozmowę nie było czasu, Marczewski bowiem i Schwartz oczekiwali opodal.

— Wpadnę do redakcyi jutro!—rzekł pan Konrad i pożegnał się śpiesznie.

— Któż to? — zapytał Antoś, po wyjściu na ulicę.

Pan Konrad wymienił nazwisko, dodając: „redaktor.”

— A cóż ty masz z nim?

— Eh! pisywałem mu tam czas jakiś różne drobiazgi. Ot, aby żyć.

Schwartz rozłożył ręce z podziwem.

— Bój się Boga, Konradzie, czego ty nie potrafisz!

Zagadnięty uśmiechnął się smutno za całą odpowiedź.

Noc była pogodna, bezksiężycowa. Niebiosa iskrzyły się od gwiazd, mrugających figlarnie z ciemnego błękitu. Chłód nocny, po skwarnym dniu słonecznym, dawał się już jednak uczuwać.

Marczewski, uprzedzając też gest pana Konrada, podsunął się do kroczącego naprzód Schwartza i zawiesił swój płaszcz na jego ramionach.

— Dajcież pokój! — bronił się Antek. — Toż wy mię ciągle jeszcze traktujecie, jak dziecko!

Zaśmiano się, poczem Marczewski dodał:

— Przeciwnie, oddajemy ci tylko cześć, należną wysokim dygnitarzom wschodnim.

— Jakto? — zapytał chłopak, nie domyślając się konceptu.

— No, jesteś przecie chorym, a każdy chory to *Saf-an-duła!* — dodał Kaziek, wymawiając ostatni wyraz niby istotną jakąś tureccczyznę.

Nowy wybuch śmiechu rozległ się po pustej ulicy.

Przed dojściem do hotelu, w którym stanął Kuba wraz z końmi, ułożono jeszcze program na dzień następny.

Staną razem, Marczewski bowiem nie może po nocy dobijać się do krewnych, Konrad zaś tak jakby nie miał mieszkania, do czego przyznał się otwarcie obu kolegom jeszcze przed przyjazdem do miasta. Przez ostatnie półrocze mieszkał na Oboźnej, wspólnie z kolegą Zawadzkim, ale licho wie, czy Zawadzki pozostał w dawnem mieszkaniu, czy też wyniósł się gdzieindziej. Wyjeżdżając, pozostawił mu trochę książek i drobiazgów do przechowania. Trzeba go będzie jutro odszukać.

Tymczasem prześpi się z nimi, w hotelu. Najgorzej, że nie dotrzymają słowa ojcu Antka i nie będą mogli wrócić na obiad do Mańkocic, jak to przyrzekli. Przynajmniej on, Konrad, wrócić nie zdoła. Czeka go bowiem około południa wizyta u pani Trzcińskiej, tego zaś zaniedbać nie może. Zdaje się, że też już całkiem da za wygraną Mańkocicom w tym roku.

— Cóż znowu! — zaprotestował Antoś, wysłuchawszy tego zwierzenia. — Zaczekamy na ciebie do jutra, a choćby już i do niedzieli, ale wrócić musisz! Przecie jeszcze dziesięć dni mamy do rozpoczęcia kursu. Bój się Boga! Ojciec-by mi nigdy tego nie darował, żebym cię już więcej do Mańkocic nie dostawił! Nigdy, przenigdy!

Stanęli tymczasem przed bramą hotelu.

— Zobaczymy, zobaczymy! — odparł pan Konrad. — Dajcie mi tylko czas na rozejrzenie się po mieście i załatwienie interesów, nic więcej...

Wzięto dwa sąsiadujące z sobą pokoiki; w większym, o dwóch łóżkach, pomieścili się Schwartz i pan Konrad; mniejszy zajął Marczewski. Przed spoczynkiem gawędzono jeszcze dość długo, wśród śmiechu i nowych konceptów, a gdy nazajutrz, około godziny 10-ej, Schwartz i Marczewski prawie równocześnie otworzyli oczy, spostrzegli ze zdziwieniem, iż towarzysz już się ulotnił.

— Rany Boskie! — zawołał Schwartz, budząc do reszty przeciągającego się, z zaspanemi oczami, Marczewskiego. — Patrzno Kazik! Konrada już niema!

Marczewski wychylił głowę poza drzwi sąsiedniego pokoju i widząc zasłane już łóżko zawołał:

— A nie mówiłem ci wczoraj, żeś dygnitarz turecki? Niechby on spał ze mną, zjadłby dyabła, gdyby mi się wymknął bez mojej wiedzy!

Przywołano natychmiast numerowego, który, na zapytanie o „tego trzeciego pana,” zawołał:

— Ho, ho! Ten pan o siódmej wstał, ubrał się zaraz, nie kazał panów budzić i wyszedł na miasto... Tedy ja, cicho się sprawiając, zasłałem łóżko... i... i... Ale — przerwał sam sobie, — ten pan tu coś napisał, proszę panów!

— Gdzie? — wrzasnął Schwartz, rozglądając się napróżno po stoliku w swoim pokoju.

— Musi być... widziałem... pisał! — upierał się służący.

Okazało się iż kartka, zapisana wielkiem, energicznem pismem, leżała na stoliku, w pokoju Marczewskiego.

— Widzisz! — zawołał Antek z tryumfem. — Tyś też dygnitarz, bo przecie Konrad był w twoim pokoju i tu widocznie pisał! Ot, pióro, kałamarz, krzesło!

Marczewski tymczasem czytał, jakby umyślnie dla zagłuszenia tych słów kolegi:

„Moi najlepsi!

„Wychodzę i nie wrócę aż w południe. Radźcie sobie przez ten czas sami. (*Rp.* Antek niech zje koniecznie mięsne śniadanie, o 11-ej, jak zwykle!!! *D. u. s.*). A jeźli wola wasza, czekajcie tu na mnie o 2-ej. Rozmówimy się co dalej robić i albo wyprawię was do Mańkocic z powrotem, albo też z wami odjadę.

„Kazika *tylko* ściskam, Antka *całuję* serdecznie, aby się nie rozpłakał.

Wasz zawsze

Konrad."

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

ODCZYTY.

Odczyt doktora medycyny Henryka Dobrzyckiego nader nieliczne zgromadził grono słuchaczy; publiczność warszawska zawiele już, jak widać, miała bakteryj.

Streściwszy słowa swego poprzednika na katedrze odczytowej, doktora Herynga, prelegent dorzucił jeszcze parę rysów charakterystycznych do widzialnej pod silnym tylko mikroskopem groźnej postaci lasecznika gruźliczego. Znowu więc wyobraźnia słuchaczy zmuszona była do przedstawienia sobie obrazów postępowego zniszczenia organizmu przez straszliwe potwory apokaliptyczne, których 2,000,000 w objętości główki od szpilki się zmieści.

Najlepszem lekarstwem na gruźlicę płuc i ogólną jest bezpośrednio ze skarbca natury czerpane świeże powietrze, szczególnie zaś przesycone balsamiczną wonią żywiczną. Zarazek gruźliczy nietyle bezpośrednio szkodzi organizmowi, ile swojemi wydzielinami i tem, że rany przezeń potworzone stają się siedliskiem wszelkiego rodzaju innych mikrobów.

Świeżego tego powietrza nie mamy potrzeby szukać gdzieś w dalekich krajach, bo jeśli brak nam gór i mórz, posiadamy miejscowości lesiste, a nawet puszcze leśne. Zmiana prócz tego lepszego, cieplejszego, łagodniejszego dalekiego klimatu na swojski, od którego płuca się już odzwyczaiły, może nawet stać się zgubną przy powrocie do kraju. Zresztą wartość górskiego specyalnie powietrza publiczność przecenia, nasze na przykład góry świętokrzyzkie, nieosłonione od wiatrów i ze zmiennym ztąd klimatem, o gruncie farmacyi dewońskiej czyli nieprzepuszczalnym, gdzie woda atmosferyczna, nie mogąc wsiąknąć, paruje nieustannie, stanowczo są niezdrowe.

Chodzi tu głównie o brak miazmatów i mikrobów w powietrzu i z tego powodu lasy wołyńskie i mińskie i miejscowości około Tumlina, Zagnańska, Kielc i t. d., nie ustępują Szkocyi w zdrowotności.

To też jest w tej okolicy szpital na 120 suchotników. Nadmienić też wypada, że zmienność tylko temperatury jest szkodliwa; w pewnym zakładzie suchotniczym w Szkocyi chorzy w zimie przy 15° mrozu całe dnie spędzają na dworze i sypiają nawet przy otwartem oknie.

Długo uważane za bezwględnie śmiertelne, suchoty gardlane, z których chory po niesłychanych męczarniach z głodu musi umierać, są, jak liczne stwierdzają fakta, chirurgicznie uleczalne; doktór Heryng pierwszy tego się domyślił, wnioskując z dokonywanych a skutecznych prób dezynfekowania po zdjęciu żeber dotkniętych zarazą płuc, które po operacyi goiły się zupełnie.

Co się tyczy środków sztucznych, to leki apteczne zupełnem milczeniem pominąćby można. Nie koniecznie są pożyteczne narkotyki uspakajające kaszel, jest on bowiem środkiem ochronnym, celem wyrzucania wydzielin płucnych, które, gnijąc, mogłyby śmierć szybką sprowadzić. Nie jest też zbawczem zmniejszanie gorączki, której zadaniem jest palić wydzieliny lasecznikow i same laseczniki.

Najlepsze zaś pokarmy też nie dodadzą krwi i wagi, dopóki poranione, ropiące się i rozpadające płuca pozbawione będą mocy dostatecznego utleniania hemoglobiny.

Środki różnej ale wielkiej sławy, w rodzaju dezynfekcyi płuc przez zalewanie ich drogą tchawicy bezpośrednio, inhalacye chloro-wodorne i siarkowodorne i t. d. nie mają wartości.

Co się zaś tyczy środka Kocha, to jest on niewątpliwie genialnem odkryciem, lecz zawcześnie ogłoszony został i zbadany. Wyciąg ten glicerynowy lasecznika gruźliczego leczy rzeczywiście i zwierzęta i gruźlicę lokalną człowieka. Gruźlica jednak płuc i ogólna opiera mu się, jak dotąd.

Najwięcej zaszkodzili dobrej sławie tego środka nakazana przez Gosslera otaczająca go tajemnica i handlarze-lekarze berlińscy „niegodni tego, aby się ogrzewali przy świętym ogniu nauki, uważali ją bowiem za dojną krowę.”

Doktór Dobrzycki mówił pięknie i treściwie i zasłużył w zupełności na liczne oklaski, jakie go pożegnały.

J. N.

BUTY.

OBRAZEK Z ŻYCIA LUDU WĘGIERSKIEGO

PRZEZ

Mikłósza Mikszacz.

PRZEKŁAD

Seweryny Duchińskiej.

Widnokrąg szarą zasłany chmurą; snać nocą przeszła burza. Gdzie rzuć okiem, widoczne ślady piorunów i nawałnicy. Drzewa smutnie podnoszą głowy ogołocone z liści i konarów, któremi ziemia zasłana dokoła. Woda szumi i huczy w głębokim rowie, przy drodze ciągnącej się wzdłuż wioski.

Podwórko Jassa Wacniki zmieniło się w kałużę. W ogródku Michała Zaka wicher zburzył gniazdko z pisklętami. Mgła biała, niby przezroczysty rąbek, podnosi się zwolna od ziemi, dym z komina wybiega dogóry prostym słupem; wróży to niechybną pogodę, mimo że niebo jeszcze zachmurzone. Równie też pochmurna twarz starego Bizego, który przechodzi właśnie ulicą z Suczem, majstrem mularskim.

Jakże on złamany, biedaczysko, lecz co dziwić się temu? Nieszczęście po nieszczęściu wali się na stare barki. Córka niedawno zmarła, zaraza padła na bydło, stodoła zgorzała, parę koni skradli złodzieje.

Bize nie umiał poddać się prawicy Bożej a dziś czuje, że i lewica mocno mu zaciężyła. Wyrzuca to sobie, zwłaszcza odkąd starszy syn walczy ze śmiercią, przyrzekł też, jeśli mu chłopiec wyzdrowieje, oddać część mienia na pobożne uczynki.

Snać niebiosa źle przyjęły ten ślub interesowny, wnet Bize przekonał się o tem, bo właśnie gdy przewoził do kościoła wotum swoje, obraz Najświętszej Panny, wóz złamał się na moście, koń wpadł do rzeki i utonął; obraz nie uszedł równie szwanku.

Ludzie poglądali na Bizego z poza płota, gdy przechodził drogą z mularzem, blady, łysy, pochylony ku ziemi.

— Dajcie mu pokój — rzecze Anna Boenger, — Bóg ciężko ukarał biedaka. A przyłóżcie tam drew pod kociołek, podczas gdy ja mieszam polewkę—rzecze do towarzyszki.

— Drwa takie mokre — zauważy wdowa Czupor, — za moich czasów paliły się lepiej. Temu wszystkiemu winien Bize. A czy słyszeliście, co się stało tej nocy?

— O czemże chcecie mówić? Może o tym krzyżu na grobie?

— Tak jest, piorun go strzaskał, pękł na dwie części. Tylko co go postawiono, a tak drogo kosztował. O! tak—doda po chwili;—zapewne idą obaj na cmentarz. Jędrusiu, skocz co żywo, zobacz w którą stronę obrócą się od studni.

Sierotka przygarnięty przez Annę siedział przy kociołku, w samym środku podwórka. Dobre to było miejsce. Ogrzewał bose nóżęta i kiedyniekiedy czerpał łyżką polewkę. Anna nie broniła mu tego.

Z żalem Jędruś opuścił miejsce swoje. Popędził w trop za starym Bize, spostrzegł jak z towarzyszem wchodził we wrota cmentarza.

Prawdę mówiły kobieciny: piękny krzyż wykuty z granitu leżał na murawie, rozbity na dwie części.

Krzyż pękł właśnie w miejscu, gdzie wyryty był szumny napis: „Wzniesiony Bogu na chwałę przez Józefa Bize."

Starzec wlepił oczy w krzyż zdruzgotany, odwrócił je wreszcie, ale nie śmiał spojrzeć w niebiosa widocznie zagniewane.

Wzrok starca padł na płową główkę Jędrusia.

Chłopczyna stał wsparty o pień jaworu, zanurzony po kostki w błocie bosemi nóżętami; oczy utkwił ciekawie w starca.

— No, czas nam w drogę — przemówił Szucz.

— Ale cóż będzie z krzyżem? — zapyta drżący Bize,—czy można go naprawić?

— Wcale nie—odpowie mularz,—ludzie nie powinni dotykać tego, co skruszył palec Boży. Tak zaprawdę, Bóg nawiedził was nową próbą.

Bize drżał jak liść, zęby mu zadzwoniły.

— Oj tak, nawiedził mnie — rzecze z goryczą;— dość już doprawdy tych nawiedzin i tych prób, co się na mnie walą a walą!

— Trzeba je znosić, ojcze Bize!

— A przecież, mój Suczu, jam nie tak zły człowiek, jak myślicie.

Sucz pokręcił głową z powątpiewaniem.

— Byłeś — rzecze, — skąpy, bez serca, pycha cię opętała. Zadzierałeś głowę dogóry w mniemaniu, żeś więcej wart od innych. A potem przyznaj sam, pożyczałeś na lichwę, krzywdą ludzką przyszedłeś do pieniędzy.

— Oj te dostatki! kością w gardle mi stoją — odrzecze Bize z ciężkiem westchnieniem. — Zimno mi, dreszcz przebiegł mnie nawskróś do szpiku. Przeczuwam nową biedę. Zda mi się, jakby żelazna ręka pochwyciła pierś moję. Boże, wskaż co mam czynić, bym uszedł Twego gniewu!

I wyszli za wrota cmentarne.

— Patrzcie—zagadnie Sucz,—ten biedak wlecze się za nami. Nogi mu posiniały od zimna. Zmykaj, malcze do domu w te pędy.

— Nie odganiajcie tego dziecka, Suczu, rad jestem, że je widzę przy sobie. Przystąpże do mnie, mały.

— Onby wolał ogrzać się przy ognisku — rzecze Sucz, — cały skrzepły, czy widzisz?

— Czemu nie wdziałeś butów? — zagadnie Bize słodko.

— Bo ich nie mam — odpowie smutno chłopiec.

— Czemuż ci ich ojciec nie kupi?

— Ja nie mam ojca — odrzecze sierota obojętnie.

Ta obojętność uderzyła Bizego.

— Czy podobna? Rośnie biedaczysko i nikt go nie kocha, nie przytuli, nikogo nie obchodzi!

I wziął chłopca za rękę, szedł z nim ulicą ku kościołowi, zatrzymał się wreszcie przed jednym sklepikiem.

Powyżej drzwi przybity był szyld, wyobrażał parę butów z ostrogami, złote chwasty błyszczały na cholewach. Pod spodem widniał napis: „Stefan Filzek szewc."

— Weźcie, majstrze, miarę na nogę temu dziecku, zróbcie mu parę butów — rzecze Bize.

Filzek popatrzał na chłopca.

— Mam ja właśnie — rzecze, — taką parę gotową, ręczę że będą wsamraz na niego.

Przyniósł buciki i obuł w nie chłopczynę.

Twarz sieroty błysła radością i uszczęśliwiony bił w ziemię obcasami.

Chmury tymczasem zbiegły z widnokręgu. Gdy Bize wyszedł na ulicę, spostrzegł błękitne niebo nad głową, promienie słońca jaskrawo migotały, kałuże wsiąkły w ziemię, trawka zazieleniała ponad rowem. Starzec lekko odetchnął, świat Boży uśmiechnął się do niego.

— Podaj mi rękę, chłopcze — zagadnął słodkim głosem, — chcesz-że iść zemną, powiedz?

Chłopczyna spojrzał na buciki.

— Wolałbym — rzecze, — powrócić do kociołka.

— Chodź lepiej zemną, toż jesteśmy przed progiem. Zamieszkasz przy mnie w tym domu z czerwonej cegły.

Przed domem stał woźnica; oznajmił że skradzione konie odebrano złodziejom.

Bize wchodzi do izby. Obecny doktór z rozpogodzoną twarzą przybliża się do niego, zapewnia że syn zdrowszy, niebezpieczeństwo ustąpiło.

Ojciec spojrzał ku niebu, wyciągnął wgórę obie ręce.

Jakże to niebo wysoko i daleko, a jednak przybliża się czasami!

Z parą bucików można przebyć tę drogę wciągu jednej godziny!

ZAKŁADY
hr. Cecylii Platerówny.

Zapewnienie bytu samoistnego niezamożnym dziewczętom przez usposobienie ich do pożytecznej i produkcyjnej pracy rękodzielniczej, zastosowanej do potrzeb czasu, przy utrwaleniu w zasadach moralności, oto cel, który się stał bodźcem do otwierania coraz nowych zakładów naukowo-rękodzielniczych dla kobiet, przez osoby poważnie zapatrujące się na życie.

Jednym z najwybitniejszych takich zakładów, powstałych w ostatniem dziesięcioleciu, jest bez zaprzeczenia szkoła przemysłowo rękodzielnicza dla dziewcząt, otworzona przez hrabiankę Cecylią Platerównę (przy ulicy Pięknej pod n-rem 24), która tak pod względem zakresu nauk, jakoteż i wszelkich urządzeń wewnętrznych, zajmuje pierwsze miejsce pomiędzy innemi tego rodzaju zakładami.

Zakład powyższy otwarty w dniu 2 Lutego 1883 roku, pod wyłącznym kierunkiem samej założycielki istniejący, mieści się w obszernym dwupiętrowym gmachu, specyalnie na rzeczoną szkołę zbudowanym, przy uwzględnieniu wymagań hygienicznych i sanitarnych.

Obejmuje on przeszło 60 pokoi, w liczbie których kilkanaście wielkich sal, przeznaczonych na klasy, pracownie, sypialnie, jadalnie, garderoby i umywalnie, przyczem kilka pokoi pozostawiono dla chorych pensyonarek.

Szkoła rzeczona podzielona jest na dwa oddziały, przygotowawczy i fachowy.

W oddziale 1-m, obejmującym trzy klasy, wstępną, pierwszą i drugą, do którego przyjmowane są uczennice od lat 10 życia, wykładane są nauki w zakresie szkolnym dwuklasowym, jako to: religia, język ruski, polski, niemiecki, arytmetyka, geografia i kaligrafia, oraz roboty praktyczne szycia, cerowania, łatania, robót drutowych i rysunku technicznego, dla wprawy oka i ręki w dokładną robotę.

W oddziale 2-im, fachowym, o kursie dwuletnim, starsze uczennice kształcą się w szyciu i kroju bielizny, sukien i okryć, w koronkarstwie, w hafcie białym, złotym i artystycznym, w robotach włóczkowych, w ubiorach kościelnych, oraz w malowaniu na porcelanie i atłasie.

Oprócz tego, gdy się zapisze przynajmniej sześć kandydatek, otwierane są pracownie szewcka i introligatorska.

Przy zakładzie istnieją pracownie bielizny, haftu, szycia sukien damskich i ubiorów kościelnych, w których przyjmują się wszelkie zamówienia.

W pierwszym roku praktyki wychowanki szkoły uczą się robót na własnych swoich materyałach, w drugim zaś roku zdolniejsze przypuszczane już bywają do pracowni obstalunkowej.

Pensyonat mieści 80 panienek, płacących za utrzymanie wraz z nauką po 200 rs. rocznie, oprócz których w zakładzie kształcą się uczennice przychodnie w liczbie około 200, pod ciągłym nadzorem 18 nauczycielek i dozorczyń, a pod głównym kierunkiem założycielki.

Po ukończeniu 2-go kursu specyalnego, uczennice otrzymują z każdego fachu oddzielne świadectwa.

Wychowanki specyalnie uzdolnione, pragnące pozostać nadal w zakładzie, otrzymują w pracowni obstalunkowej całkowite utrzymanie z pensyą od 6 do 10 rubli miesięcznie.

Czas nauki i pracy trwa od godziny 9 rano do 12 w południe, poczem następuje półgodzinna pauza na odpoczynek i śniadanie, następnie zaś od godziny 12 i pół do 3-ej po południu. Od godziny 5 do 7 wieczorem roboty ręczne, zaś od 7 i pół do 8 i pół gimnastyka. O godzinie 10 wieczorem wszystkie uczennice udają się na spoczynek.

Wciągu zajęć punktualnie cogodzina wychowanki wybiegają na 10 minut na dziedziniec, lub wrazie niepogody na korytarze i do wielkiej sali dla użycia ruchu, w którym to czasie odbywa się wentylacya sal szkolnych i roboczych.

Na wystawie w miesiącu Czerwcu 1889 roku odbytej w Muzeum przemysłu, za wzorowy kierunek instytucyi, oraz za ogół wystawionych okazów, przyznaną została zakładowi hrabianki Platerówny najwyższa nagroda, jaką jest dyplom uznania.

Na tem kończymy wzmiankę o zakładzie przemysłowo-rękodzielniczym przy ulicy Pięknej.

Niestrudzona wszakże w zabiegach swoich założycielka tej, jak widzimy z powyższego opisu, nader pożytecznej instytucyi, otwiera z dniem 1-ym Września r. b. bodaj czy nie bardziej jeszcze doniosłego znaczenia szkołę gospodarczą, zadaniem której będzie kształcić młode dziewczęta, poczynając od lat 15 wieku, w zawodzie praktycznego gospodarstwa domowego na wsi.

Przedmiotami wykładowemi w tej nowej szkole będą: ogólne obejście się z nabiałem, wyrób masła i serów, przyrządzanie, solenie i wędzenie mięsiwa, solenie i kwaszenie rydzów, ogórków i kapusty, urządzanie marynat, konfitur, soków i t. p., pieczywo zwyczajne i wykwintne, kucharstwo, wreszcie hodowla krów, cieląt, trzody i drobiu; po ukończeniu zaś nauki powyższych przedmiotów, uczennice rzeczonej szkoły będą mogły, stosownie do ich życzenia, kształcić się w ogrodnictwie, pszczelnictwie, tkactwie i praniu bielizny, zawsze z uwzględnieniem starań pod względem zasad moralności.

Opłata za naukę i utrzymanie wynosić będzie od 100 do 120 rubli rocznie.

Całkowity kurs trwa od 3 do 4 lat, po ukończeniu którego wychowanki otrzymywać będą odpowiednie świadectwa.

Program powyższy sam przez się aż nadto dostatecznie przedstawia całą pożyteczność szkoły gospodarczej, która, jako filia zakładu rękodzielniczego warszawskiego, istnieć będzie na folwarku Chyliczki, odległym o 14 wiorst od Warszawy, posiadającym 4 włóki gruntu, z obszernemi i dogodnemi zabudowaniami, odpowiednim żywym i martwym inwentarzem, z wyborowym, obszernym ogrodem owocowym i warzywnym, inspektami i dużym, postępowo zarybionym stawem, a położonym w miejscowości suchej i zdrowej, mającej z Warszawą dogodną komunikacyą, jako przy szosie leżącej.

Staraniom przeto zacnej założycielki społeczeństwo nasze zawdzięczać będzie wykształcenie tak bardzo i oddawna pożądanych, wykwalifikowanych gospodyń wiejskich.

Przy dalszym zaś rozwoju szkoły chyliczkowskiej, zakład zamierza przyjmować praktykantki z klasy zamożniejszej, które będą tam oddzielnie i na odmiennych pomieszczane warunkach, za opłatą od 200 do 300 rubli rocznie.

B. A. Grab.

Nagroda.

ZA CZARNE OCZY.

NOWELA.*

(Dokończenie.)

— Ewo! ocalona! ocalona! czy nie słyszysz?... Powiadam ci, że widzieć będzie! jak ty, jak ja!... O, co za szczęście!...

W głosie Mieczysława drga szalona radość. Ramiona jego obejmują żonę uściskiem, w który chciałby przelać część uczuć, przepełniających mu serce.

Ewa patrzy na niego w niemem zdumieniu:

— Ocalona?... kto?... Co ty chcesz powiedzieć?...

— Ona, ta blada dziewczyna z czarnemi oczyma. Skazali ją na ślepotę, taką młodą, piękną, jedynaczkę u starej matki! Och, Ewuniu, niczyje chyba oczy nie sprowadzą na mnie tyle błogosławieństw, co te, które mi dzisiaj udało się otworzyć na świat Boży!... Uściskaj mnie! patrz, jestem taki szczęśliwy!

Ewa rozumie już prawie, ale niedowierza jeszcze.

— Ty ją leczyłeś?... — pyta, a serce uderza jej, jak gdyby odpowiedź miała być wyrokiem życia lub śmierci.

— Zdjąłem jej dziś kataraktę... czekałem umyślnie, bo nie była jeszcze dojrzała... ach, jak mi pilno było! Tak dawno już nie doświadczałem tej słodkiej radości!

Niewymowne uczucie szczęścia i uspokojenia, które ogarnia Ewę, po nagłym wybuchu rozpaczy odurza ją prawie, tamuje oddech i odejmuje mowę; chciałaby rzucić się na piersi Miecia i płakać z radości, ale odpycha ją od tych otwartych ramion wyrzut sumienia, jak ona mogła nie ufać mu, posądzać go o rzecz taką!...

— Och Mieciu, czemu mi nie powiedziałeś, że ją leczysz!... ja byłam przez ten czas tak nieszczęśliwa!

Nie jest wstanie wymówić więcej, ale jej usta drżące i uścisk, jakim teraz obejmuje swój skarb odzyskany, tłómaczą Mieczysławowi wszystko. W jednej chwili zrozumiał każdy jej ruch, słowo każde, wyrzeczone w ostatnich czasach, i doznaje wrażenia, jak gdyby nagle stanęła przed nim Ewa inna, nieznana mu dotąd, z tą samą wprawdzie dziecinną twarzyczką, ale z gorącem sercem kobiety, gotowem bronić praw swoich choćby przed urojonem widmem niebezpieczeństwa. Ach, jakże mu żal teraz, że brakiem zaufania zatruł parę tygodni życia tej, którą dotąd uważał tylko za śliczne, kapryśne dziecko.

— Przebacz mi, Ewuniu!... bałem się, żebyś mi nie stawiła przeszkód... A widzisz, byłoby to zbrodnią... wiedziałem, że ją uleczę!

Ewa pochyliła głowę. Prawda, nie jej teraz rzeczą robić wymówki, czyż to nie ona sama dziecinnym uporem i pocałunkami zamknęła te usta, gotowe może wypowiedzieć jej wszystko? Czy próbowała kiedy zajrzeć w głąb duszy męża i podzielić najdroższe jego marzenia i nadzieje?... Wszak pragnęła sobą tylko, swoją ładną twarzyczką wypełnić mu serce i przysłonić świat cały!...

* * *

Od ośmiu już dni czarne firanki zasłaniają okna różowego domku i w małym pokoiku ciemno jak w grobie, ale tak wesoło!

Jutro już, jutro oczy Anielki oswajać się zaczną ze światłem, doktór to zapowiedział. Dziś obiecał przyjść raz jeszcze i potwierdzić radosną nowinę; oto słychać już jego kroki w sieni.

— Tędy Ewuniu, trzymaj się mnie mocno za rękę, bo się uderzysz... Ot tak, już jesteśmy przy łóżku.

— Kto to?... panie doktorze, to pan?

— Ja i moja żona, którą obiecałem przyprowadzić. Panno Anielciu, proszę podać mi rączkę, niech się panie przywitają.

Mieczysław wkłada w rękę żony wychudłe paluszki swojej pacyentki, które obejmują ją gorącym uściskiem.

— Jaka pani dobra, że przyszła! pan doktór nie pozwala sobie nawet dziękować. Niech Bóg da państwu tyle, tyle szczęścia, ile ja go każdem spojrzeniem wymodlić będę mogła!

— O tak! niech za oczy mojej córki Bóg każdy dzień życia wam pobłogosławi! — odzywa się głos starej kobiety, urywany wzruszeniem.

Ewa nic nie odpowiada, drży cała i tuli się do męża. W tej chwili jej ukochany Miecio, zjawiający się jak anioł pocieszyciel w ciemnej izdebce, wydaje jej się większym i potężniejszym od wszystkich w stal zakutych bohaterów, o których marzyła, mając lat piętnaście. I to ona tego bronić mu chciała? od takiego zawodu go odciągać?... och, zdaje jej się, że do tej pory nie wiedziała wcale, czem jest doktór!

Mieczysław obejmuje ją ramieniem i oboje czują, że w tej chwili dopiero zrozumieli się i zjednoczyli zupełnie.

Oczy, oswajając się powoli z mrokiem, zaczynają rozróżniać niektóre przedmioty. W nogach łóżka rysuje się jeszcze jedna postać—młodego mężczyzny, który z książką w ręku siadywał obok niewidomej. On jeden nie mówi nic i chowa twarz w dłoniach, bo nadmiar szczęścia, zarówno jak nadmiar boleści, w milczeniu tylko znieść można. Mieczysław go zna, wie że czarne oczy Anielci mają mu przyświecać przez całą drogę życia, że szczęśliwem drgnięciem lancetu darował mu kawałek nieba, od którego dotąd dzieliła go ślepota ukochanej.

Złoty blask dzienny po grobowej ciemności, z której wyszli, olśniewa tak Ewę, że zasłania oczy obiema rękami i nic nie widzi przed sobą, a jednak zdaje się, że lżej oddycha w tych promieniach słońca, jakby jej nagle zdjęto z piersi gniotący ciężar. Wsparta na ramieniu, Miecia, postępuje bardzo powoli, upajając się światłem i ciepłem i głębokiem uczuciem szczęścia, które przenika ją spokojną, cichą radością.

— Teraz, Ewuniu, jestem na twoje rozkazy... Kiedy chcesz wyjechać do Wołczowej?

Głos Mieczysława brzmi niby swobodnie, ale oczy jego patrzą tak badawczo w twarz żony, jakby przeniknąć chciały aż do głębi jej myśli.

Ewa nie unika tego spojrzenia, tylko usta jej drgają dawnym figlarnym uśmiechem.

— Do Wołczowej? dobrze! pojedziemy... za lat dwadzieścia... albo... chcesz, Mieciu? gdy już nie będzie naokoło tylu ślepych i chorych... Wtenczas zamieszkamy w Wołczowej, a tymczasem jeździć tam będziemy tylko na wakacye.

— Och Ewuniu, może to zbyt wielka ofiara dla ciebie?... może tam czułabyś się szczęśliwszą?

Ewa potrząsa głową i uśmiech jej staje się bardzo poważnym i tkliwym.

— Szczęśliwą będę tam właśnie, gdzie nie będę zawadą i ciężarem dla ciebie, ale pomocą i towarzyszką pracy. Nie jestem już takiem upartem, nieznośnem dzieckiem, które ci tylko kłopot sprawiało. Od dziś będziesz miał rozsądną, dobrą żonę; to pierwsza nagroda za czarne oczy Anielci.

K O N I E C.



Oddawna już stało się widocznem, że nasze gospodarstwa rolne muszą wstąpić na drogę przemysłu, jeżeli nie chcą zginąć ostatecznie od niepewnych losów produkcyi rolnej. Trzeba szukać nowych źródeł zarobku, co zresztą przyda się nietylko samym rolnikom. W tej myśli zwracaliśmy niedawno baczniejszą uwagę czytelników na pierwszy tom dzieła inżeniera Łubieńskiego, traktujący o przemyśle wiejskim, a mianowicie też o przetworach roślinnych, teraz zaś polecamy im świeżo wyszłą książkę pana Edmunda Jankowskiego, zatytułowaną **„Ogrodnictwo przemysłowe."**

Autor zna swój przedmiot zawodowo, pracuje nad nim praktycznie, sam ogrodnik i sporo już zasłużony ogrodnictwu krajowemu—można tedy bez wahania i nieufności wziąć książkę jego do ręki, a zato w przekonaniu, że się w niej znajdzie dużo rzeczy ciekawych, nauczających i użytecznych. Zwłaszcza cel pożytku ożywia ją od początku do końca i dziełko posiada tę niezaprzeczoną zaletę, że autor-ogrodnik nigdzie w niem nie unosi się szowinizmem specyalisty, na sprawy ogrodnictwa praktycznego patrzy trzeźwo, a zamiłowanie swe krzepko trzyma na wodzy. Mówi w pracy swej o przemyśle warzywniczym, nie kryjąc tu wcale trudności i szkopułów, na jakie nieoględność ludzka i nieznajomość rzeczy natknąć się mogą; uczy uprawy roślin aptekarskich, które, jak widać, bacznie wybierać należy, aby nie siać i nie sadzić takich, które potem na gruncie zmarnieć muszą, bo na nich popytu niema; traktuje hodowlę nasion, która stanowi poniekąd specyalną i niełatwą gałąź ogrodnictwa; przechodzi następnie do szkółek drzewnych, prowadzonych w celu handlowym, a wreszcie, w drugiej części swego dziełka, traktuje dosyć obszernie przemysł owocowy i kwiatowy, kończąc go rozdziałem ogólnym o eksploatacyi.

Czytelnik znajduje w tym dziale dużo wskazówek praktycznych, odnoszących się do prowadzenia sadów handlowych, do hodowli i plantowania krzewów, krzaków i drzew owocowych, a w rozdziele „Przeroby owocowe" nauczy się suszenia owoców, robienia konserwów, konfitur suchych, powideł, sera, albo chleba owocowego, galaret, marmelad, win jagodowych, jabłeczników, syropów, soków, octów i wyciągów. Fabrykacya tych wszystkich dobrych, a u nas powiększej części nowych rzeczy wyłożona jest szczegółowo, objaśniona cyframi, unaoczniona rysunkami. Z rozdziału o „Przemyśle roślinnym i kwiatowym" dowiedzieć się można wielu tajemnic ogrodnictwa artystycznego, które z produktów swoich wytwarza przedmioty naturalnego piękna: bukiety, wiązanki, ozdoby, dekoracye kwiatowe i t. p. Tutaj nauczy się czytelnik sposobów suszenia kwiatów, ich farbowania, pielęgnowania kwiatów w ziemi (na gruncie), pędzenia roślin, hodowania ich pod szkłem, jednem słowem z rozdziału tego pozna bliżko a dokładnie przemysł kwiaciarski, który w Warszawie od pewnego czasu rozwija się szybko i skutecznie, dzięki zbawiennym w tej mierze wpływom Towarzystwa ogrodniczego, „Ogrodnika polskiego" i... pośrednio, ale może najskuteczniej autora książki, o jakiej mówimy.

Kiedy już dziełko pana Jankowskiego nauczyło czytelnika, jak rośliny do hodowli wybierać, na jakim gruncie produkować, jak zbierać i konserwować, jak suszyć i przerabiać, uczy wreszcie w rozdziele ostatnim, jak towar wyprodukowany lub przerobiony zbywać. Rozdział ten traktuje o drogach zbytu, agentach handlowych i sklepach. Z tego co mówi, widać bardzo jasno, że sprawa nie jest łatwa i że ogrodnictwo praktyczne często spotykać się musi z murem przeciwności, którego najtęższą głową przebić niepodobna. Ogólna zasada, jaka się zdaje wynikać z dowodzeń autora, brzmiećby powinna: przedewszystkiem rynki najbliższe, potem dopiero dalsze, a wreszcie i eksport; przedewszystkiem produkt surowy, a w braku jego zbytu przerobiony; przedewszystkiem dbałość o produkta wyborowe, bo na te zbyt znajdzie się zawsze. A skoro się tak postawionej zasadzie zadosyć uczyni, można być pewnym, że praca na marne nie pójdzie.

Autor utrzymuje, że gdy idzie o zbyt zamiejscowy, a tembardziej o eksport (wywóz) na rynki dalekie, na przykład do cesarstwa lub za granicę, obycie się bez agentów jest rzeczą niemożliwą, choćby tylko z przyczyny, że ceny na produkt ogrodniczy ulegają nieobliczonej nigdy zgóry zmienności. Agenci są od tego, żeby ceny te znali i wiedzieli, czy zbyt produktu jest możliwy, czy nie. Często bowiem się zdarza, że w handlu owocami odzyskać można zaledwie koszta przewozu, towar zaś sam idzie na marne.

W sprawach tych największa ostrożność, ciągłe informowanie się o warunkach handlu i rynków są rzeczami niezbędnemi. Twierdzi też pan Jankowski, że zakładanie i prowadzenie sklepów z produktami ogrodnictwa nie bywa wogóle korzystnem, a jest zawsze wielce ryzykownem. Najkorzystniej dla ogrodnika, gdy produkt jego z zagona, grządki lub cieplarni idzie wprost do rąk nabywcy. Ale aby tak bywać mogło, trzeba się samemu starać o drogi zbytu, najpierw najbliższe, bo najkorzystniejsze.

Książkę pana Jankowskiego polecamy gorąco uwadze czytelników, a zwłaszcza czytelniczek, w rękach których dotąd przeważnie spoczywają losy ogrodnictwa, szczególniej na wsiach. Mogą one, idąc za radami jej autora, wzmódz tę wątłą jeszcze dzisiaj gałęź produkcyi i przemysłu, jako źródło korzyści, które, choć niewielkie, mogą przecież znaleźć pozycyą poważną w rachunku dochodów ogólnych.

Tylko, aby te wszystkie wady i wskazówki, tak bardzo pożądane i nauczające, istotną pociechą stać się mogły, trzeba się przedewszystkiem postarać o wywalczenie handlu ogrodniczego z rąk małomiasteczkowych Joselów i Mośków, którzy, jako jego agenci i pośrednicy, są właściwie jego tępicielami.

Rz.



O UBIORACH.

Paryż, 1 Maja 1891 r.

Zpowodu ciągłego zimna i niepogody mało jeszcze na ulicach i przechadzkach ukazuje się wiosennych kapeluszy. Moda w nich jednak zupełnie już ustalona; mnóstwo ich przygotowano w wielkich magazynach tutejszych. Kapotki tegoroczne maleńkie zaledwie przykrywają sam wierzch głowy, niektóre znikają zupełnie pod wieńcami lub bukietami kwiatów. Rzecz dziwna, Paryżanki, zazwyczaj pełne coraz nowych pomysłów, tak sobie od zeszłego lata upodobały kolor żółty, że nie mogą się z nim rozstać. Pełno też na kapeluszach żółtych róż, żółtych akacyj, żonkilów, jaskrów, pierwiosnków i t. p. Przybierają niemi kapelusze z ażurowej słomki czarnej, brązowej i morderowej.

Kapelusze okrągłe różne mają rozmiary; u wszystkich główka bardzo płaska, rondo naprzód wysunięte, proste lub wgięte wśrodku, niekiedy w trzech odstępach, ztyłu podniesione dogóry. Do najwykwintniejszych należą kapeliny z włoskiej słomy z szerokiem rondem, fantastycznie podniesionem.

Widzieliśmy w pierwszych dniach Kwietnia modele kapotek i kapeluszy, które odznaczają się niezwykłym gustem; dajemy tu szczegółowy ich opis.

Kapotka z magazynu pani Lois, czarna koronkowa, nad czołem ułożone dwie kontrafałdy, przepinane wiązkami fijołków w bladych i mocniejszych odcieniach. Główka cała zasiana fijołkami, szarfy do tego czarne.

Inny kapelusz z tegoż magazynu, okrągły z wypuszczonem rondem, z białej słomki klarownej, ubrany pękiem białych narcyzów i kokardami z wstążki jasno zielonej w błękitnawem odcieniu.

Trzeci kapelusik od pani Rébout z koronki czarnej, w formie okrągłego toczka. Nad czołem wpięty bukiecik aurykli różowych w kilku odcieniach. Od tyłu idą dwa różowe piórka, odwrócone przez wierzch do przodu.

Czwarta kapotka z szarej koronki, zprzodu otoczona wiankiem modrych bławatków, ztyłu upięty dogóry takiż bukiet.

Piąty kapelusz od pani Monier, czarny słomkowy, przezroczysty. Rondo wypuszczone naprzód, podbite czarną gazą. Od tyłu pęk czarnych piór

strusich. Przód ubrany gałązkami bzu lila z liśćmi i puklami z wstążki.

Szósty od pani Parisot, toczek słomkowy jasno brązowy (loutre) w formie podłużnej, rondko odwinięte, opasane wstążką błękitną, nad niem pęk piór brązowych, każde piórko zakończone błękitnym kolorem. Kokardy z wstążki błękitnej z brązowem dopełniają ubrania.

Modele sukien i okrywek z magazynu Aleksandra podobały nam się bardzo; przytaczamy ich opis.

Pierwszy płaszcz długi, *Buckingham*, z grubego szewiotu popielatego z czarnem, wgórze ujęty w karczek, poniżej pleców przymarszczony. Od karczka spada kapiszon podbity czarną materyą, zprzodu idą długie wstążki do związania.

Druga okrywka, zwana *Mante*, z jasno popielatego sukienka, wtyle przyfałdowana do stanu. Od ramion wybiegają wgórę rzęsiste bufy. Przody, lekko namarszczone, objęte z obu stron listwą z materyi szkockiej, w różnokolorową kratę. Kołnierz do tego wysoki, odwinięty, *Marie Stuart*, zwierzchu sukienny, od spodu podszyty materyą w kratę.

Okrywki takie bardzo w tym roku modne; noszą je też z czarnej jedwabnej materyi.

Trzeci długi paletot z granatowego szewiotu, obcisły do figury; po obu stronach przodu wyłogi jedwabne w tymże samym kolorze, zdobi je pelerynka wycięta w zęby. Dwa piękne guziki służą do spięcia w pasie, dwa drugie do spięcia u szyi. Paletot cały podbity granatowym fularem.

Czwarta okrywka, w rodzaju peleryny z piaskowego sukienka, przymarszczona do karczka. Ten karczek, cały zahaftowany ciemniejszym jedwabiem, tworzy na plecach dwa zęby, zprzodu łączy się w jeden ząb długi. Kołnierz do tego wysoki, *Medicis*, w miejscu ramienia podniesione bufy.

Podobne okrywki czarne koronkowe, zwane Letycya, ujęte w karczek naszyty dżetem, bardzo będą modne na lato.

Oglądaliśmy też u pani Martin piękne modele sukien, zamówione do wyprawy.

Najstrojniejsza z nich biała z ciężkiej materyi gros grin i z atłasu przerabianego w błękitne haBry ze złotem. Spódniczka atłasowa płaska. Od przodu do boków dół zakończony szerokim szlakiem z habrów ze złotemi liśćmi. Wmiarę jak idą wgórę kwiaty, zmniejszają się stopniowo, tworząc rzut na przedzie spódnicy. Stanik zprzodu i pobokach z takiegoż atłasu, zarówno jak bufowane rękawy. Plecy stanika z gładkiej materyi białej, tylne bryty białe tworzą drugi tren. Pasek i kołnierz Marie Stuart, niezbyt wysoki, zahaftowane odpowiednio, pięknie dopełniają całości.

Do ubrania głowy przygotowana egretka z habrów i liści złotych.

Druga suknia z piaskowego sukienka ma szlak zahaftowany dżetem. Spódnica, rozcięta zupełnie zprzodu i pobokach, tworzy dwie spadające poły (panceaux) objęte zbrzegu haftem. Pod to idzie druga spódniczka z materyi różowej, w cielistym odcieniu (*rose chair*). Tylne bryty, nieodcięte od stanika, w formie *princesse*, otoczone haftem pobokach. Przody stanika łączą się z połami i tworzą jakby wycięty gorsecik, brzegiem zahaftowany. Podspód idzie stanik różowy wykrojony w ząb, tak zprzodu jak na plecach. Wkoło ramion do przodu przechodzi koronka angielska, podniesiona wgórę na drucikach. Rękawy do tego różowe bufowane wgórze, obcisłe u ręki.

Trzecia suknia z gładkiej materyi czarnej. Spódnica lekko powłóczysta, przyfałdowana w wachlarz. Przez cały przód spódnicy naszyte wolanty koronkowe. Przód stanika przybrany odpowiednio koronkowym plastronem. Rękawy całe koronkowe bufowane.

Czwarty kostium skromniejszy, ale niemniej gustowny, z granatowego sukna. Spódniczka płaska, przyfałdowana wtyle. Żakiecik obcisły, otwarty zprzodu. Podspód idzie kamizelka z fularu surah w granatową i białą kratkę. Na wierzch długi płaszczyk *mante*, podbity takimże fularem z zahaftowanym karczkiem. Na ramionach bufy, podniesione wgórę, oznaczają niby rękawy. Tylne bryty przyfałdowane poniżej stanu.

Słynny krawiec Redfern, który z Londynu przeniósł się do Paryża, rozpowszechnia tu angielskie mody. Widzieliśmy w jego pracowni kostiumy z lekkiej tkaniny wełnianej, zwanej *Homestum*, wyrobu górali szkockich. Tkanka ta bywa zwykle w trzech mienionych kolorach, na przykład szarym, czarnym i krewetkowym. Kostiumy takie wielkiej dziś używają wziętości, składają się ze spódniczki gładkiej, krajanej w ścinane bryty (en parasol) i z obcisłego żakiecika, rozszerzonego udołu na ośm długich klapek. Mimo prostego materyału, ceny Redferna nie dla wszystkich dostępne.

S. D.

Z chwili bieżącej.

✻ **Ostrzeżenie.** Kupujący brylanty—a są podobno jeszcze tacy a zwłasza takie—winni się mieć na ostrożności, obecnie bowiem jest w obiegu mnóstwo brylantów fałszowanych, puszczonych w handel przez kilka firm jubilerskich paryzkich. Nie są to dyamenty sztuczne, tylko prawdziwe, ale żółte, odbarwione zapomocą aniliny, która im na pewien czas nadaje blask dyamentów czystej wody.

Właściwie dyamenty te pochodzą z Antwerpii, zkąd dom handlowy Latini dostarcza tego towaru większej części jubilerów paryzkich. Oszustwo to atoli dzieje się z wiedzą nabywców, gdyż jubiler z łatwością może się poznać na sfałszowanym w ten sposób dyamencie. Kilku firmom paryzkim wytoczono już z tego powodu proces, gdyż szkody już poniesione przez publiczność w skutku tego fałszerstwa mają dochodzić do 50 milionów franków.

✻ **Przebudowa teatru Wielkiego**, jak słychać, ma być skończona na wrzesień. Tyle już naznaczano tej robocie terminów, które zawiodły, że i tej wieści nie śmiemy bardzo dowierzać, i stęsknionym za otwarciem tyle czasu niewidzianego teatru. Czytelnikom naszym podajemy ją, niby owa piastunka, która chcąc utulić rozpłakane dziecko, pociesza je: „Cyt, cyt! Przyjdzie mama z miasta, przywiezie ci kawał ciasta..."

✻ **Palen'e cygar i papierosów** w letnich wagonach tramwai jest nieprzyzwoitem i niebezpiecznem. Wystawmy sobie położenie osoby niepalącej, zwłaszcza kobiety siedzącej za palaczem, puszczającym sute dymy z groszowego cygara albo z nielepszego odeń papierosa, które to dymy, w skutek ciągu powietrza sprawianego ruchem wagonu, wszystkie ku niej się zwracają. Jak łatwo w takim razie o zapruszenie ognia, mianowicie z papierosa, na to dowodzeń nie potrzeba. Dlatego zwracamy uwagę publiczności na świeżo ponowione rozporządzenie p. o. oberpolicmajstra, zabraniające palenia tytuniu w wagonach letnich, z wyjątkiem tylnej platformy, oraz ostatniej ławki, jeżeli tylna pratforma jest pusta. Zwracamy na nie uwagę dlatego, że o ile sobie przypominamy, istnieje ono nie od dziś dnia, a jednak nie było wykonywane. Zachowania tego przepisu powinni pilnować mężczyźni jadący wagonem; wymaga tego po nich grzeczność dla kobiet, z których nie każda ma odwagę upomnieć palącego mężczyznę i milcząc, znosi raczej przykrości, do których znoszenia nie jest obowiązaną. Dodać trzeba że pp. konduktorowie, bądź to również z brakucywilnej odwagi, bądź z innych względów, tolerują zwykle niedozwolone palenie.

✻ **Kościół powązkowski.** Roboty około przebudowy i rozszerzenia kościoła na powązkach niebawem się już rozpoczną. Obecnie zarząd gromadzi potrzebne materyały, tak aby raz rozpoczęta przebudowa jaknajszybciej mogła być doprowadzona do końca.

✻ **Akademia rolnicza**, na wzór Piotrowskiej w Moskwie, ma być od nowego roku szkolnego zaprowadzona w Nowej Aleksandryi (Puławach); wiadomość o tem nadeszła w tych dniach z Petersburga.

✻ **Sprawa budowy bulwarów**, tak ważna dla naszego miasta, żywo obchodzić musi każdego jego mieszkańca. Że to sprawa niełatwa, to nie sekret, ale że święci garnków nie lepią, to także powszechnie wiadomo. Wartości i praktyczności propozycyj i planów p. Devarsa nie przesądzamy, ale to nie ulega wątpliwości, że jeżeli Warszawa posiędzie kiedy bulwary, w znacznej części zawdzięczać je będzie temu niestrudzonemu ich budowy inicyatorowi. I obecnie znów p. Devars złożył na nowo p. prezydentowi miasta szczegółowe warunki ze strony kapitalistów francuzkich, pod któremi gotowi byliby podjąć się tej budowy.

✻ **Kolej konna wilanowska** ma być w tych dniach otwartą — do Bogucina. Dalsza budowa ze względów finansowych podobno tak szybko nie pójdzie; dobrze jednak że choć ten kawałeczek będzie gotów, i że jego eksploatacya jakie takie dochody nieść będzie spólnikom... Czy tylko będzie je niosła?...

Wątpliwość tę już raz wyraziliśmy na tem miejscu i nie możemy się z niej wyleczyć, lubo dla przedsięwzięcia tego, jak zresztą, dla każdego, swojskiemi podjętego siłami, jesteśmy jaknajsympatyczniej i jaknajżyczliwiej usposobieni.

✻ **Poranek artystyczny na rzecz J. Galasiewicza** odbył się w niedziele d. 26 z. m. w teatrze Nowym. Publiczność liczna, zapełniwszy salę teatralną, złożyła dowód uznania dla zasług benefisanta, zarówno jako pisarza dramatycznego, jak też i jako aktora. Koledzy zrobili wszystko co było w ich mocy, aby dowieść swej braterskiej życzliwości dla kolegi i chwilą szczerej zabawy wynagrodzić publiczności skwapliwość, z jaką na przedstawienie pośpieszyła. Dochód z poranku przyniósł około 500 rs, które daj Boże jaknajskuteczniej przyczynią się do zupełnego odzyskania zdrowia artyście, ciężką niemocą nawiedzonemu, ale na szczęście będącemu już na drodze rekonwalescencyi.

✻ **Jubileusz.** W dniu 26 z. m. odbył się piękny obchód jubileuszu prof. Piotra Skrzypińskiego, zasłużonego pedagoga. Rozpoczęta nabożeństwem w kościele S. Antoniego, uroczystość zakończyła się ucztą u p. W. Górskiego, w którego szkole realnej jubilat, mimo podeszłego wieku, do dziś dnia czynnie pracuje. Podczas uczty, obok licznych toastów na cześć jubilata, wręczono mu piękne album pamiątkowe ze stu kilkudziesięciu fotografiami jego uczniów i kolegów.

✻ Ktoś podobno wymyślił emalią sztuczną, którą powleczone zęby zyskują na trwałości i sile. Ma się rozumieć, że emalia taka byłaby prawdziwem dobrodziejstwem dla tych wszystkich, co, zagrożeni utratą zębów, widzą się skazanymi na powolne konanie. Miałoby też to niemałą wartość dla „perełek" stanowiących piękną ozdobę różowych buziaków. Skoro się te perełki psują, poczyna się psuć i wesołość a szczerość uśmiechu, i pogoda spojrzenia i młodzieńczość rumieńców. Brak zębów niszczy organizm cały. A podobno, jak utrzymują lekarze, obecne pokolenia tracą zęby łatwo i szybko. Emalia, gdyby się nawet okazała tak pełną zalet, jak się to o niej głosi, nie zastąpi zębów, gdy ich niema. Zresztą obaczymy dopiero zczasem, na co się przyda interesujący ten wynalazek.

G. Cz.

Odpowiedzi od redakcyi.

Prenumeratorce z ulicy Siennej. Chcąc przenieść deseń na sukno, trzeba narysować go na grubym papierze, nakłóć grubą igłą w maszynie do szycia i, przypiąwszy na suknie, posypać zwierzchu kredą lub farbką w proszku (odpowiednio do koloru tła). Gdy odepniemy wolno papier, deseń odznaczy się kropkami i trzeba go wyszyć bawełną. Na skórze desenie najlepiej nakłówać, lub na jasnej rysować zapomocą niebieskiej kalki.

Pani Chodakowskiej „Poezye" Konopnickiej (trzy tomy) kosztują bez oprawy rs. 4 kop. 50, w oprawie rs. 6. „Bez dogmatu" Sienkiewicza rs. 5, w oprawie zaś rs. 6 kop. 50.

☞ **Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się datek z drzeworytami i duży arkusz z krojami.**

FABRYKA KUFRÓW, WALIZ I TOREB T. L. BREYMEYER WARSZAWA KRÓLEWSKA Nr 1 róg KRAK.-PRZEDM. POLECA WSZELKIE PRZYBORY DO PODRÓŻY, KONNEJ JAZDY I POLOWANIA, **WÓZKI. WELOCYPEDY. PANTOFLE I WYROBY KOSZYKARSKIE.** 45 4—12

Wierzbowa Nr 1
Wierzbowa Nr 1
Wierzbowa Nr 1
Zielna Nr 36
Zielna Nr 36
Zielna Nr 36
Marszałkowska 141
Marszałkowska 141
Marszałkowska 141

60—3—3

MARCELI WILDEN

poleca znane z pięknego i gustownego wyrobu

KAPELUSZE SŁOMKOWE

dla dam, mężczyzn i dzieci po cenach bardzo nizkich.

Sprzedaż detaliczna na Wierzbowej ulicy Nr 1 odbywa się na entresoli nad „Tanim sklepem," obok Składu Firanek F. Bukowskiego. Wejście tylko z ulicy.

Nowość ciepłe koszule „**Edison**", które usuwają wszelką potrzebę używania trykotów, w zupełności zastępują elegancką i wygodną dziecinną bieliznę. Filja **Nowy-Świat Nr 67.**



MAGAZYN Ubiorów Dziecinnych KOTZEBUE 2 róg Wierzbowej. WYBÓR materyałów

S. PRZEDZIECKI

CENY umiarkowane

MUNDURY, Szynele i Bluzy DLA UCZNI. 42—5—8

Kaucyonowane Biuro Nauczycielskie

WALERYI MAX,

ul. Hr. Kocebue 2, w Warszawie.

Rekomenduje: Nauczycielki, Nauczycieli i Bony. Osoby na lekcye i korepetycye. Na zamówienia sprowadza z Paryża i Genewy Guwernantki i Bony.
24—6—6

Specyalny Magazyn Okryć Damskich

A. Łojewskiej,

ULICA BRACKA Nr 10.

Poleca wielki wybór okryć wiosennych i letnich podług modeli osobiście sprowadzonych z pierwszorzędnych magazynów zagranicznych.
55—3—6
CENY BARDZO PRZYSTĘPNE.

LABORATORYUM ŚRODKÓW ODŻYWCZYCH

W. HERDY,

Aleja Jerozolimska Nr 80 w Warszawie.

Poleca odżywcze środki dla rekonwalescentów, dzieci i osób wycieńczonych mianowicie: **Sok mięsny świeży** niezawodny środek wzmacniający i lekkostrawny, **wyciąg trzuskowy** przepisu d-ra M. Rajchmana proszek mięsny **Racahout des Arabes** nadzwyczaj smaczny i posilny napój **Kaszę leczniczę, Kakao słodowe, Kaszkę posilną i Lipaninę** czyli tran bez wstrętnego smaku tranu. 54—4—6

Magazyn Sukien i Okryć Damskich

F. JĘDRZEJEWSKIEJ

W WARSZAWIE, 23 DŁUGA 23.

Wykonywa wszelkie obstalunki z możliwym pośpiechem podług ostatnich żurnali, tak z własnych jak i powierzonych materyałów, po cenach bardzo umiarkowanych. **WYKOŃCZENIE STARANNE.** 42—3—6

FARBIARNIA PAROWA, PRALNIA CHEMICZNA
I ZAKŁAD DEZYNFEKCYJNY (Kamera)

Ch. GEBER,

(Grochów, Telefon Nr 164.) 39 6—16

Farbuje i czyści wszelką **garderobę mezką i damską**. Farbuje na sposób francuzki całkowite sztuki nowych materyi przędzę jedwabną dla panów fabrykantów i kupców, oraz drukuje desenie nowym systemem na wszelkich materyałach, na sukniach pranych i farbowanych.

Magazyny w Warszawie: Niecała № 9 (telefonu № 328), Marszałkowska № 116, Nowy-Świat № 49, Leszno № 4, Dzika № 9 i Praga Brukowa № 32.

38—1—5

WODA KOLOŃSKA MIĘDZYRZECKA

Nagrodzona Wielkim Medalem Srebrnym na wystawie w Muzeum Przemysłu 1890 roku, jest do nabycia w pierwszorzędnych Magazynach Perfumeryjnych, Galanteryjnych i Składach materyałów aptecznych.

Skład Główny

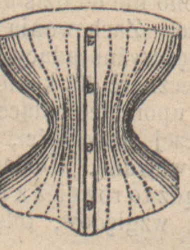
Aleja Jerozolimska Nr 64. wprost Kruczej.

FABRYKA
KAPELUSZY SŁOMKOWYCH, FILCOWYCH ORAZ MAGAZYN MÓD
I KWIATÓW SZTUCZNYCH 47—4—4

E. LOTH,

Krakowskie-Przedmieście Nr 17, w Warszawie.

Poleca na nadchodzący sezon: Kapelusze damskie, mezkie i dziecinne z ubraniem i bez tegoż, w najnowszych formach i rodzajach plecionek, tanich i drogich. Kwiaty, Pióra i t. p. Kapelusze przyjmują się do prania i prasowania wyłącznie te, które równocześnie pozostawione są do ubrania. Sprzedaż hurtowa i detaliczna.

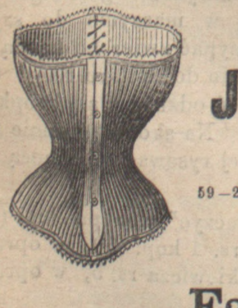


Fabryka Gorsetów

MARYI GROCHOWSKIEJ.

Krakowskie-Przedm. 49, wprost Gmachu Dobroczynności.

Magazyn stale zaopatrzony w gorsety fiżbinowe od rs. 2, hygieniczne od rs. 4, atłasowe od rs. 6. Rekomenduje gorsety dla osób ułomnych i szelki do prostego trzymania się, oraz Gorsety podróżne do konnej jazdy. Poleca się również wybór gorsetów tkanych. Obstalunki na prowincyę wysyła się odwrotną pocztą. 38—2—2



Warszawska Fabryka Gorsetów

J. LENARTOWSKIEJ,

Krakowskie-Przedmieście Nr 23
(róg Trębackiej.)
59—2—6
Poleca gorsety:
Zgrabne, Eleganckie i Tanie.
Fasony paryzkie.

C. LESKI,

19 Senatorska, mieszkania 7 (dawniej Niecała),

powróciwszy z zagranicy, poleca nowości
w stanikach trykotowych „JERSEY",
ŻAKIETACH WIOSENNYCH,
oraz wielki wybór Woalek, Wolantów koronkowych i t. d.
Zamówienia wykonywam w 24 godzinach. 46—2—4

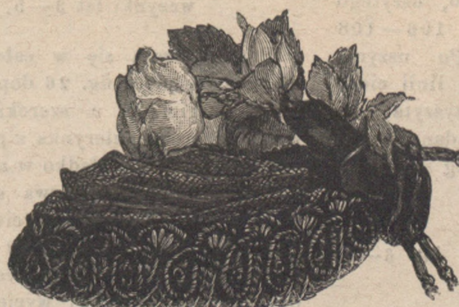
Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Апрѣля 1891 г.
Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.
Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 26.
Dodatek.



N. 8. Płaszczyk dla dziewczynki lat 6—8. Krój N. XVII. Patrz ryc. 9.



N. 1. Kapelusz okrągły z odwiniętem rondkiem.



N. 2. Toczek tiulowy.



N. 9. Płaszczyk dla dziewczynki lat 6—8. Krój N. XVII. Patrz ryc. 8.



N. 3. Rękaw z wysoką sztylpą.



N. 5—7. Ubranie dla chłopca lat 2—4. Krój N XIX. Patrz ryc. 16.



N. 4. Rękaw do paletotu ryc. 37. Krój N. XI.



N. 10. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki lat 3—5. Krój N. IV. Patrz ryc. 11.



N. 11. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki lat 3—5. Krój N. IV. Patrz ryc. 10.



N. 16. Przód do ryc. 5—7.



N. 12. Suknia z upiętą spódnicą. Krój N. XXI.



N. 13. Suknia princesse. Krój N. VII. Patrz ryc. 22.



N. 14—15. Dwie spódnice do sukien. Krój N. IX.



N. 17—18. Sukienka z marszczonym stanikiem, dla panienki lat 8—10. Krój N. XVIII.

Opis do N-ru 19.

N. 1. Kapelusz okrągły z odwiniętem rondkiem.

Czarny bastowy fasonik ma główkę 6 c. wysoką otoczoną rondkiem z fantazyjnej słomki z tyłu 6, z przodu 8 cent. szerokiem, wysuniętem w ząb. Przybranie ułożone z kawałka czarnego tiulu w żółte jedwabne punkciki 35 cent. szerokiego, zfałdowanego wokoło główki, a z tyłu upiętego w pukle. Z przodu gałązka żółtych aksamitnych kwiatów.

N. 2. Toczek tiulowy.

Fasonik z drutu pokryty czarnym tiulem ma denko z perełek a brzegi oszyte torsadką 6 c. szeroką. Czarna koronka Chantilly 26 cent. szeroka zfałdowana wokoło główki i spięta z tyłu kokardą z atłasowej wstążki 7 c. szeroką. Z boku gałązka róży z pączkiem i liśćmi.

N. 3. Rękaw z wysoką sztylpą.

Odpowiedni do lekkiego wełnianego materyału, wymaga gładkiej podszewki od dołu do łokcia pokrytej materyałem i naszytej wązką pletnią, haftem, torsadą, co stanowi sztylpę. Górna część bufiasta dana z prostego kawałka 63 c. długiego, 65 szerokiego, podciętego w górze podług formy i przymarszczonego; dolny brzeg przymarszczony, przyszyty szwem odwracanym, opuszczony w bufę.

N. 4 i 37. Paletocik z wykładanym kołnierzem. Krój N. XI.

Miękka materya jedwabna służy na podszewkę pod paletocik z niebieskawo-popielatego szewjotu; kołnierz szalowy (fig. 65) pokryty materyałem w paski białe. Zwykła forma nie wymaga szczegółowego opisu, dodamy tylko, że przody (fig. 60) są pod szyją zaszyte w zaszewkę, składając punktem do punktu; klapka kieszeniowa przyszywa się podług linii cienkiej; tylny szew dany od U do V. Rycina 4 przedstawia rękaw oddzielnie.

N. 5—7 i 16. Ubranie dla chłopca lat 2—4. Krój N. XIX.

Spódniczka fałdowana i kamizelka dana z gra-

natowego dyjagonalu, zaś żakietka otwarta z przodu jest z aksamitu, zdobna stalowemi guziczkami. Ranwersy podszywają się także aksamitem, dochodzącym aż do dołu; pod żakietkę dana podszewka z niebieskiego żagnotu; przody przypinają się krytemi haftkami do staniczka spodniego, uszytego z popielatej dymki podług formy fig. 106—108 i zapinanego z tyłu na guziczki. Po uszyciu staniczka dodaje się kamizelkę podług linii cienkiej na fig. 106; do dolnego brzegu przyszyta spódniczka 28 c. długa, 196 c. szeroka, układana w płaskie fałdy $4^1/_2$ c. szerokie. Dolny brzeg kamizelki przystębnowany na spódniczce.

N. 8—9. **Płaszczyk** dla dziewczynki lat 6—8. Krój N. XVII.

W zwyczajnej formie płaszczyka zachodzi ta tylko odmiana, że karczek przedni krajany jest w jednym ciągu z plecami i zachodzi na przody założone w kontrafałdy 6 c. szerokie; od 20 do gwiazdki karczek wszywa się w wykrój szyi od 15 do krzyżyka wpuszcza w szew ramienia. Rękawy fig. 98 lekko przymarszczone na ramionach wszyte są w pachę razem z oddzielnym skośnym kawałkiem 8 c. szerokim, złożonym podwójnie i przymarszczonym w bufkę stojącą. Haft maszynowy w tym samym kolorze co materyał płaszczyka; guziki z konchy perłowej.

N. 10—11. **Płaszczyk** z pelerynką dla dziewczynki lat 3—5. Krój N. IV.

Przody krają się w całej długości podług fig. 25, krótkie plecy fig. 26 dopełnione prostym brytem 29 c. długim, 70 c. szerokim, w górze zmarszczonym. Szeroka pelerynka z przodu sięga do wykroju szyi i wpuszczona gładko w szew ramion, z tyłu zaś przymarszczona przyszywa się do pleców szwem odwracanym, podług linii cienkiej od u do gwiazdki. Pasek $4^1/_2$ c. szeroki po 22 c. długi przyszyty przy r pod klapkami kieszeniowemi zapięty luźno z przodu. Brzegi pelerynki wycięte w zęby.

N. 12. **Suknia** z upiętą spódnicą. Krój N. XXI.

Model sukni przedstawia połączenie ciemnej jedwabnej materyi z wełną gładką ze szlakiem. Fig. 116 daje wymiar połowy zwierzchniej spódnicy; krótka linia kropkowana w szlaku oznacza środek przodu. Brzeg górny od 1 do 32 wszywa się gład-



N 19. Płaszczyk z pelerynką marszczoną. Krój i przód N. XV.

N. 20. Paletot długi z pelerynką. Krój i przód N. XVI.

N. 21. Paletocik z kapturkiem dla dziewczynki.

N. 22. Suknia prinçesse. Patrz rycina 13. Krój N. VII.

N. 23. Płaszczyk z wyszyciem sznureczkowem. Krój N. III. Patrz ryc. 36, tudzież ryc. 23 w N-rze 18.

N. 24. Płaszczyk z fałdowanym karczkiem. Krój i przód N. VIII.

N. 25. Paletot z odcinaną baskiną. Krój i deseń N. XIII.

N. 32. Parasolik z fałdowanem pokryciem.

N. 26. Toczek okrągły.

N. 33—34. Dwa szale jako zarzutki letnie.

N. 27. Okrycie pelerynowe. Krój N. III. Patrz ryc. 38.

N. 35. Paletocik z patkami kieszeniowemi. Krój N. XII.

N. 28. Paletot z krótką pelerynką. Krój N. II.

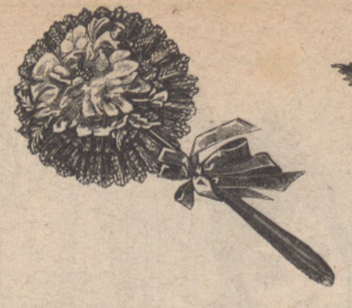
N. 29—30. Paletot z ranwersami i kapelusz okrągły. Krój i deseń N. V.

N. 31. Parasolik podgarnirowany wewnątrz.

N. 36. Płaszczyk z wyszyciem sznureczkowem. Patrz ryc. 23.—N. 37. Paletocik z wykładanym kołnierzem Patrz ryc. 4. Krój N. XI.—N. 38. Okrycie pelerynowe. Krój N. III. Patrz ryc. 27. — N. 39. Płaszczyk z kapturkiem. Krój N. X.



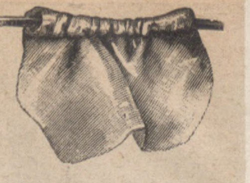
N. 40 — 42. Kapelusz, parasolik składany i pelerynka. Krój N. XIV.



N. 43. Wachlarz okrągły zdobny fantazyjnym kwiatem. Patrz ryc. 45—46.



N. 44. Kwiat jedwabny do ryc. 43. Krój N. XX. Patrz ryc. 43—45.



N. 45. Fryzowanie listka do ryc. 44.



N. 46. Przyszycie listków do kielicha. P. r. 43 — 45.

ko w pasek, dalej daje zaszewkę podług figury, resztę fałduje i marszczy podług objętości paska. Stanik zapinany z tyłu ma podszewkę pokrytą w górze materyą w formie okrągłego karczka; przymarszczone w pasie przody i rękawy są ze szlaku a stanik i części kaftanikowe gładkie, oszyte wązką torsadką. Pasek zapięty dużą klamrą.

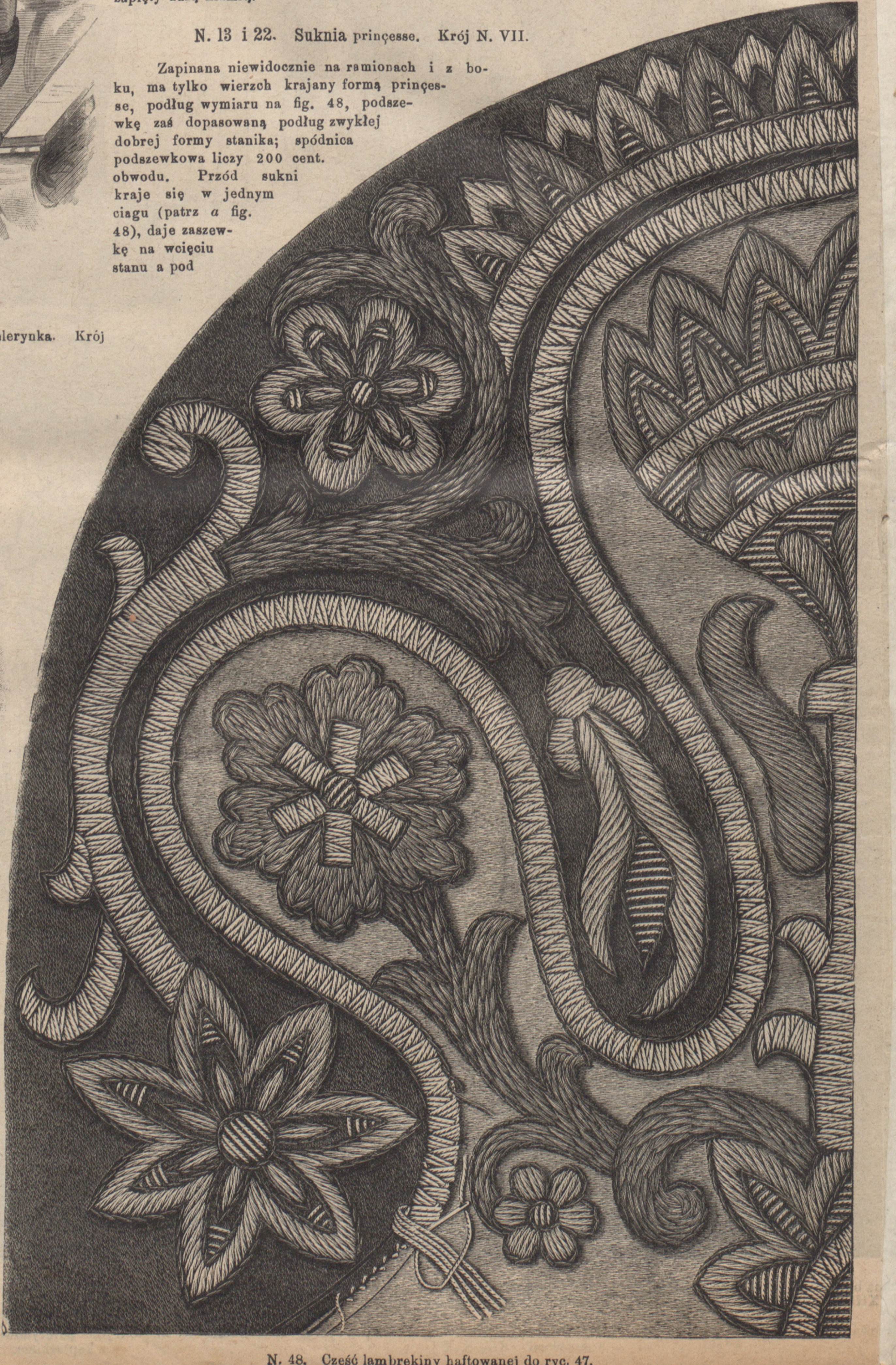
N. 13 i 22. Suknia princesse. Krój N. VII.

Zapinana niewidocznie na ramionach i z boku, ma tylko wierzch krajany formą princesse, podług wymiaru na fig. 48, podszewkę zaś dopasowaną podług zwykłej dobrej formy stanika; spódnica podszewkowa liczy 200 cent. obwodu. Przód sukni kraje się w jednym ciągu (patrz *a* fig. 48), daje zaszewkę na wcięciu stanu a pod szyją składa w fałdki; krótkie boczki krajać podług b, plecy pokrywające zarazem podszewkę drugich boczków są w pasie przymarszczone a od dwukropka do dwukropka ściśle zfałdowane. Skośnie wystający w górę brzeg boczny, od dwukropka do gwiazdki zachodzi na krótki boczek i składając gwiazdką do gwiazdki przyszyty jest do przodu, zebranego w fałdy między 28 i 39 tudzież od 57—74. Boczne brzegi przodu są od 28 do dołu przyszyte na spódnicy, zaś boczne brzegi tylnego bryta są 20 c. szeroko podwrąbione i tylko przyczepione niewidocznie na sukni za fałdy wachlarzowe (patrz r. 13). Rękaw którego podszewkę daje r. 49 a wierzch fig. 50 tem się różni od dotychczasowej formy, że przy ramieniu jest bardzo szeroki a mniej odstający. Przy sukni tej można nie dawać żadnego przybrania jak na r. 13 lub też przybrać pasmanteryą i ciemniejszym aksamitem podług r. 22; z aksamitu dany rodzaj karczka, sztylpy, wązkie przody kaftanikowe i obłożenie u dołu 15 c. szerokie.



N. 47. Kosz na drobiazgi. Patrz ryc. 48.

(Dokończenie nastąpi).



N. 48. Część lambrekiny haftowanej do ryc. 47.